

Księga wyjścia – 15

14 czerwca 2019

Ballada o wojskowym namiocie, burmistrzu, który stał się prezydentem i poznańskiej uczciwości

Udało mi się poznać dziewczynę, która zna się na tym i już nawet zamieściła pierwsze wydanie na portalu LubimyCzytac.pl. Zaapelowałem do znajomych, by powstawiali swoje oceny, ale chyba wiadomość ta do wszystkich jeszcze nie dotarła, bo jak dotychczas ocen jest niewiele. Alternatywnym wytłumaczeniem jest to, że książka im się zwyczajnie nie podobała i nie chcą robić mi przykrości oceniając nisko. Tak czy inaczej jest plan, jest agentka i będzie dobrze, bo mam kolejny cel. I nieprawdopodobnie sprawczą organizatorkę, której zawierzyłem los całej mojej pisaniny.



Zamierzałem w tym odcinku opisać struktury Urzędu Miasta i Starostwa Powiatowego (starostwo powiatowe to masło maślane, jeszcze nie słyszałem o starostwie gminnym), obnażyć

iluzoryczne i fikcyjne stanowiska, tworzone tylko po to, by zagospodarować człowieka, który od zawsze się kręci, bywa radnym, a jeśli nie, to dostaje stanowisko. Inspiracją były pewne kurioza, które zauważyłem, są urzędy podległe miastu, lub starostwu, którymi rządzi kierownik. W Puławach zawsze jest dyrektor, a w urzędzie pracy nawet dwóch. Jest człowiek odpowiedzialny z ramienia powiatu za pomoc społeczną, który nie wiem czym się zajmuje, ale podczas oficjalnych wystąpień mówi o „opiece społecznej”, opieki nie ma już od trzydziestu lat, w jej miejsce powstały Ośrodki POMOCY Społecznej, no i najbardziej intrygująca funkcja zastępcy dyrektora Powiatowego Urzędu Pracy. Nikt nie zna jego kompetencji, jest dyrektor, który firmuje całość i kierownicy poszczególnych działów, a trzymanie etatu zastępcy dyrektora tylko po to, by go zastąpił podczas urlopu jest i straszne i śmieszne, bo oznacza to, że facet ten pracuje 21 dni w roku, plus ewentualne zwolnienia lekarskie, to kolejnych kilkanaście dni.

Puławy zawsze miały jakąś manię wielkości. Od czasów gdy osiedlili się tu Czartoryscy i księżna Izabella otworzyła swoje pierwsze muzeum. Być może to tutaj Mikołaj Repnin – carski namiestnik i kochanek Izabelli zapłodnił ją, czego efektem był książę Adam Jerzy, przodek tej linii Czartoryskich, która opchnęła Glińskiemu obraz baby ze szcurem za kolosalne pieniądze. Obraz, który i tak był w państwowych zbiorach i jedynym kupcem mógł być polski rząd. Zakup ten nie wzbogacił kulturowo państwa, bo nic się nie zmieniło, poza tym, że Czartoryscy dostali całą masę hajsu, a że pochodzili z rodu o korzeniach polsko-rosyjskich – nieformalnie oczywiście, ale podobieństwo Repnina i Adama Jerzego nie pozostawiało wątpliwości. Zresztą naukowcy mają to udokumentowane. Zwolennikom spiskowych teorii podrzucę pomysł, że kasę dostali Rosjanie.

Wracając jednak do współczesności, za czasów poprzedniego prezydenta, który był chyba najdłużej sprawującym włodarzem miasta w kraju. Zaczął chyba gdzieś w połowie, czy pod koniec

lat osiemdziesiątych, był wtedy naczelnikiem miasta. Potem przyszła zmiana i ponieważ burmistrz to za mało, pokombinowali coś z liczbą mieszkańców, by na chwilę przekroczyła pięćdziesiąt tysięcy i wówczas zgodnie z ustawą z burmistrza zrobił się prezydent. Gdy już zmienił sobie tytuł to liczba mieszkańców wróciła do prawdziwej wielkości i obecnie wynosi 48 tysięcy z niewielkim haczykiem.

Wynikało to oczywiście z jego megalomanii, i gdyby Rudy Giuliani wcześniej rozślawił stanowisko i rangę burmistrza, pewnie tej zmiany by nie było – ale to tylko moje dywagacje. O tym fałszerstwie doskonale wiedzą wszyscy zainteresowani, ale nawet już i ja się z tego śmieję i zamiast dochodzić prawdy i degradować z powrotem do stanowiska burmistrza, pisząc o tym gdzie się da, machnąłem ręką i pomyślałem niech się biskupem ogłosi. Tak więc prezydentopochodny Janusz Grobeł rządził sobie miastem, a wielu ludzi sądziło, że od samego początku, wraz z powstaniem Zakładów Azotowych, powstał prezydent Grobeł, tak się na tej funkcji zasiedziało. To nie do końca prawda, bo Azoty wybudowano w 1962 roku, ale kto pamięta, czy był przed nim jakiś naczelnik, burmistrz, prezydent czy wódz. Grobeł był zawsze. Miał wprowadzić jedną czy dwie przerwy, wówczas prezes jednej ze spółdzielni mieszkaniowych zatrudniał go jako swego zastępcę – na przeczekanie, a gdy przychodziły nowe wybory, to już lokalny biznes zebrał odpowiednie pieniądze, by ponownie wrócić na swój urząd. Jak bumerang, raz z list SLD, raz AWS, potem PiS, czy satelickich, by w końcu kandydować z listy KWW Samorządowcy Janusza Grobla. Wszystko zależało od koniunktury.

Niespecjalnie za nim przepadałem i pracując w „Dzienniku Wschodnim” nie raz napsułem mu krwi. A to afera z puławską żelatyną, a to kościół, który dostawał co chciał. Najbardziej atrakcyjną w mieście działkę, w zasadzie spory kawałek pola w samym centrum, dostała jedna z parafii za symboliczną złotówkę. Zniszczony dworzec PKS, który mógłby służyć ludziom. Autobusy mogłyby spokojnie stamtąd zabierać pasażerów, którzy

by nie musieli ich szukać pod marketami. Bardziej niż on chyba nikt nie potrafiłby popsuć infrastruktury drogowej. Gdzie tyko się da poustawiali światła, które często działają także w nocy i pieszy musi czekać na zielone nawet gdy ulice puste, zielone zaczyna mrugać w połowie jezdni, więc drugą już trzeba przejść na czerwonym. Ja sobie jeszcze z tym radzę, ale ktoś o lasce czy na wózku – niekoniecznie. Drogę wylotową na Kazimierz Dolny zrobił tak, że zawsze będzie tam korek podczas weekendu. Rozwiązanie to nazywa się miasteczkiem holenderskim i jest fajne jako uliczka osiedlowa, ale nie jako jedyna droga do Kazimierza odwiedzanego przez setki tysięcy turystów, a bywają lata, że przewinie się ich rocznie ze trzy miliony. I choć ta wielkość jest wyjątkiem, to kilkaset tysięcy od pół do miliona to normalny przerób turystyczny. Fajnie byłoby, gdyby samochody mogły płynnie przejechać tę wylotówkę, ale miasteczko holenderskie nie pozwala wyprzedzić nawet traktora.

„Dziennik Wschodni” podaje, że rządził nieprzerwanie 24 lata. Myślę, że znacznie dłużej i jednak z przerwami. Ktoś ze „Wschodniego” się nie przygotował.

Teraz jego miejsce zajął mój kolega z młodości. Od najmłodszych lat mieszkaliśmy w tej samej klatce, w której wciąż mieszka mój ojciec i jego rodzice. Widujemy się więc czasami. Wszedł do rady miasta na fali nienawiści do społeczności romskiej, którą będąc wcześniej radnym podsycił. Podsycił ją pytaniami o skuteczność programów aktywizacji zawodowej, wyliczał ile to kosztowało i nie przyniosło efektu. Oczywiście że nie przyniesie efektu, bo kto kiedykolwiek zatrudnił Cygana? Prędzej pracę znajdą Ukraińcy niż Romowie – chociaż ci z Puław wolą by mówić na nich Cyganie. Pieniądze natomiast pochodziły z programów unijnych, więc miasto nie dokładało do tego złotówki. Teraz wydano uchwałę, że Puławy są wolne od LGBT. Dziwna ta uchwała, jak zamierzają ją egzekwować i co oznacza? Ale moja przekorna, choć spokojna natura się trochę zbuntowała i zaapelowałem do działaczy by mi dostarczyli taką flagę, którą zawieszę za oknem. Mieszkam na

czwartym piętrze, więc nikt nie zerwie. Jedynie kamienie mogą dolecieć, ale i tak miałem założyć moskitiery, zawsze trochę ochronią szybę. Uchwała zdziwiła mnie tym bardziej, że znam też najbliższą rodzinę obecnego prezydenta. Ale ich spraw osobistych wyciągać publicznie nie będę.

O stanowiskach tworzonych specjalnie dla działaczy napiszę jeszcze nie raz, a w teraz opowiem co udało się zrobić w sprawie J., ponieważ w poniedziałek minął termin ultimatum i miał się wyprowadzić ze swojego mieszkania, które znajduje się rzut beretem od szpitala, do getta umiejscowionego już poza miastem. Oczywiście w jego granicach administracyjnych, ale od zawsze Wólka Profecka była traktowana jako osobna wieś, a wyprawa tam, dla kogoś kto nie ma samochodu była lekkim wyzwaniem. Jeździłem niegdyś często w tamte okolice, ponieważ jest tam fajny basen. Być może dlatego radni w swej szczodroblewości postanowili wybudować osiedle socjalne w jego okolicy, by mieszkańcom było przyjemnie. Ale nie jest, bo nie stać ich na bilet wstępu, a poza tym jak już pisałem osiedle to rządzi się własnymi prawami.

Przypomniała mi się sytuacja sprzed lat, gdy odkryłem, że w puławskim lesie mieszka grupa bezdomnych. Pracowałem wtedy w „Nie”, zrobiłem reportaż, nagłośniłem i rada miasta postanowiła się tym zająć. Sprowadziłem więc mieszkańców na sesję, a jeden z radnych, nieżyjący już Tadeusz Lis – mój serdeczny przyjaciel – zgłosił formalny wniosek, by oddać głos jednemu z „leśnych ludzi”. Mieszkali w szałasach, na okolicznych drzewach powiesili jakieś obrazki, lustro do golenia, tak żeby było trochę domowo. Mieszkali wcześniej w pustostanie, zrujnowanym budynku, ale wesoła młodzież wiele razy próbowała ich stamtąd wykurzyć. W końcu podpalili im ten skłot i tak przenieśli się do lasu. Tu też wesoła młodzież, co nie lubi „meneli” usiłowała uprzykrzyć im życie, ale trochę się przeliczyli. Jeden z nich – Janek – był świetnym bokserem, trenował w świdnickiej Avii i miał spore sukcesy. Tak więc dostali kilka razy po nosie i zapłakani wrócili do domów

szlochając w drodze. Leśni ludzie mieli już spokój. Mieszkali tak pięć lat, pięć zim, wiosen, lat i jesieni. Niezależnie od pory roku...

Rada Miasta wyraziła w końcu zgodę i mikrofon dostał Janek, do tej pory pamiętam jego pierwsze słowa: „wybaczcie państwo, ale od lat mieszkam między sarnami i dzikami, mogę więc mieć kłopoty z jasnym wyrażeniem swoich myśli”. Poprosili radnych o jakiś kawałek przestrzeni, nawet niewielki, zobowiązali się samodzielnie zbudować domek. Znali się na tym, bo często dorabiali właśnie w budowlance. Wśród radnych rozpoczął się gwar, każdy szukał pomysłu, a co który wymyślił to było głupsze. W końcu jeden z przedstawicieli zarządu zapytał Janka, (pytanie to miało go zdeprecjonować, odczłowieczyć i zrobić zwykłego żula) doskonale pamiętam to pytanie i użyte słowa. Brzmiało to tak: „Proszę nam powiedzieć, w jaki sposób nabył pan bezdomność?”. Część parsknęła śmiechem, ale Janek odpowiedział, pił, żona znalazła sobie innego faceta, a on nie wdając się w awantury i podziały majątku trzasnął drzwiami i wyszedł. Jedyny adres, który mu został to ławka, dopiero później „Baza” lub „Leśna 13”, tak nazwali tę polanę na której się osiedlili. Radni znowu radzili, znowu zrobiło się gwarno, w pomieszczeniu duszno od napięcia, bo nie mieli pojęcia co zrobić z tym pasztetem. W końcu ktoś wpadł na pomysł, zdaje się, mogę się mylić, ale chyba był to obecny szef MOSiRu – jeśli nie, to przepraszam Cię Tosiek. Zresztą nieważne, ale znalazło się rozwiązanie, które wszystkich radnych zachwyciło. Poza Tadkiem Lisem, który dłońmi skrył twarz. „Namiot wojskowy” – powiedział pomysłodawca „damy im wojskowy namiot”. Przegłosowali tę uchwałę, a my opuściliśmy sesję w milczeniu. Nie wiedziałem co im powiedzieć, sam to rozkręciłem, sam nagłośniłem i spowodowałem że znalazło się w porządku dziennym obrad. Więc, jak widzicie drodzy czytelnicy, takie pomysły miewają puławscy rajcy, dlatego mimo złożonego przez J. pisma wciąż czekamy niecierpliwie na jakąś decyzję, ewentualnie komornika.

Kilka odcinków temu pisałem o pewnej kobiecie, która napisała do mnie Messengerem i chodziło jej, bym pomógł jej synowi. Chłopak uzależniony od heroiny, na własną rękę kupował – przynajmniej tak twierdził – Suboxon, by jakoś wyjść z tego bagna. Byłem przekonany, że zwyczajnie ją nabiera i zamiast Suboxonu kupuje helupę (heroina). Poza tym jest to lek, którego nie wolno brać bez kontroli lekarza. Zaproponowałem, że zadzwonię do ordynatora detoxu w Lublinie i spróbuję zaklepać mu miejsce. Wielokrotnie opisywany tutaj przeze mnie doktor Andrzej Kaciuba jest najlepszym w Polsce specjalistą terapii uzależnień, do tego najbardziej skromnym lekarzem jakiego znam, czasami już waham się czy dzwonić i kolejny raz zawracać mu głowę, by kogoś przyjął. Ale determinacja kobiety była ogromna, więc nie mogłem jej odmówić. To byłoby niehumanitarne. Zadzwoniłem więc i jak zawsze gdy zreferowałem problem kazał przyjechać w poniedziałek. Chłopak jechał samochodem z drugiego końca Polski, zajechał więc po mnie i mimo, że wcześniej się w ogóle nie znaliśmy, to po wypiciu kawy byliśmy już kumplami. Bardzo fajny chłopak. Pojechałem z nim do Lublina i doprowadziłem do momentu, gdy wywołali go na izbę przyjęć. Wtedy zawróciłem i pędem do Puław, bo o 12,30 miałem umówioną wizytę u dentysty. Zdążyłem załatwić jedno i drugie. Tylko flagi wciąż nie mam więc pozostaje jedna niezłatwiona sprawa z tygodniowego planu.

Wrócę jeszcze do sprawy Amiki Wronki i samobójstwa Ilony Pujanek, w poniedziałek obszerny reportaż zamieściła „Wyborcza” w „Wysokich Obcasach”. W pierwszej chwili wkurzyłem się, że tak późno, dwa i pół roku po tym zdarzeniu. Potem jednak doszedłem do wniosku, że jednak to dobry pomysł. Dzięki temu sprawa nie zniknie z przestrzeni publicznej. Zapadł już pierwszy wyrok, w którym skazano lokalną dziennikarkę Ankę Wilk-Baran, na trzy letni zakaz wykonywania zawodu i pracy w mediach. 28 maja również byłem przesłuchiwany przez ten sąd w innej sprawie, ale też dotyczącej lobbingu w zakładzie. Felieton piszę dwunastego czerwca i do tej pory poznański sąd nie zwrócił mi kosztów podróży. Gdy zadzwoniłem, to niezbyt

przyjemnym głosem jakaś pani poinformowała mnie, że najpierw sędzia musi podpisać, potem dział finansowy zaakceptować i wtedy dostanę lub nie przelew. Okazuje się, że mogę nie dostać zwrotu kosztów podróży. A to naprawdę kawał drogi. Przy dobrym połączeniu, czyli nie czekając zbyt długo na pociąg w Warszawie, to podróż trwa 10-12 godzin. Z Puław do Warszawy jeżdżą teraz tylko busy, a droga na całym odcinku jest w przebudowie, więc jazda trwa czasami trzy i pół, cztery godziny, plus cztery godziny pociąg z Warszawy do Poznania. Gdyby udało się na styk, to teoretycznie można się tam dostać w osiem godzin. W praktyce jest to niemożliwe. Ponieważ adnotacja była „stawiennictwo obowiązkowe” to dla kogoś takiego jak ja żyjącego z dnia na dzień wiąże się z zadłużeniem. Sąd ma to jednak w dupie i pieniądze zwróci lub nie. Chociaż kolejna adnotacja mówi o tym, że zwrot kosztów się należy. Upłynęły jednak dwa tygodnie i nic, więc już nie wiem czego się spodziewać, a dzwonić tam raz jeszcze, by wysłuchać nieprzyjemnego głosu jakiejś pani (ocena subiektywna) chyba jest bezcelowe.

Piszę to nie po to by się żalić, tylko by uczulić tych, którzy dostają takie wezwania. Gdybym wiedział, że tak będzie, zwyczajnie poszedłbym na zwolnienie lekarskie, taka sugestia dla tych, których na podróż nie stać. Pierwotnie bowiem zakładałem, że pożyczę pieniądze na podróż w jedną stronę i hostel, bo przecież kasa zwróci od ręki, więc będę miał na powrót. Nic z tego.

Na dzisiaj wystarczy. I tak poruszyłem zbyt wiele wątków zamiast skupić się na jednym. Pomiąłem zupełnie kłamstwo wyborcze Biedronia który kandydując do PE obiecał ludziom, że zrzeknie się mandatu by kandydować jesienią do Sejmu. Ludzie mu uwierzyli i oddawali więc głosy traktując to jak manifestację poparcia. A Robert Biedroń okazał się zwykłym małym oszustem. Bo jeśli jego Wiosna, jesienią nie przekroczy pięciu procent, to będzie tylko jego вина i rządy dalej będzie sprawował Kaczyński. Chciałoby się napisać „Biedroń, ty ch...”,

ale ktoś może mnie wziąć za homofoba.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info